Są filmy, które nie tyle opowiadają historię, ile uczą innego sposobu patrzenia. Zamiast podporządkowywać świat przyrody ludzkim emocjom i znaczeniom, próbują przywrócić mu autonomię, pozwalając wybrzmieć temu, co zazwyczaj pozostaje na marginesie naszej uwagi. W tej perspektywie bohater dzisiejszego filmu — miłorząb japoński — nie jest jedynie elementem pejzażu ani metaforą ludzkiego losu. Ale jak mówi w wywiadzie sama reżyserka - staje się żywym uczestnikiem rzeczywistości, którego istnienie wymyka się naszym przyzwyczajeniom poznawczym. To nie pierwszy raz, kiedy Ildikó Enyedi przygląda się granicy między tym, co ludzkie, a tym, co pozaludzkie. Za Duszę i ciało — film, w którym dwoje bohaterów, niezdolnych do nawiązania bliskości na jawie, spotyka się we śnie pod postaciami jeleni — węgierska reżyserka otrzymała Złotego Niedźwiedzia na Berlinale. W „Milczącej przyjaciółce" ponownie interesuje ją możliwość spotkania z Innym — tym razem nie poprzez zwierzę, lecz poprzez drzewo. Enyedi należy do artystek, które traktują kino nie tylko jako narzędzie opowiadania historii, lecz także jako sposób uważnego przyglądania się światu. Jej wrażliwość jest bliska fotografii i sztuce obserwacji — zamiast narzucać obrazowi znaczenie, pozwala mu stopniowo odsłaniać własną tajemnicę. W tym miejscu warto przywołać książkę Michaela Mardera pt. „Myślenie roślin. Filozofia wegetacji". Filozof proponuje, by spojrzeć na rośliny nie jako na bierne obiekty czy dekoracje świata, lecz jako na odmienne sposoby istnienia. Roślina nie musi się poruszać, mówić ani działać tak jak człowiek, aby uczestniczyć w świecie. Jest zakorzeniona, otwarta na otoczenie, zależna od innych organizmów i procesów, których często nie dostrzegamy. Film pyta: czy potrafimy dostrzec wartość istnienia, które nie jest skierowane ku nam? I czy możemy patrzeć na przyrodę inaczej niż przez pryzmat jej użyteczności, piękna albo znaczeń, które sami jej nadajemy? Powolne tempo, zbliżenia, detale, cisza i oszczędność obrazu sprzyjają takiemu patrzeniu. Kamera nie zawsze chce coś wyjaśnić. Czasem po prostu pozwala istnieć na ekranie. To ważne również w kontekście fotografii i naukowego eksperymentu: każde spojrzenie jest przecież wyborem, wyodrębnieniem fragmentu świata, próbą jego poznania. Film można więc potraktować jako ćwiczenie z patrzenia. Nie chodzi o to, by uczynić drzewo bardziej ludzkim. Przeciwnie — być może chodzi o to, by na chwilę przestać oczekiwać, że świat musi być ludzki, abyśmy mogli uznać go za znaczący. Miłorząb przypomina nam, że żyjemy w świecie, który istniał przed nami i będzie trwał poza granicami pojedynczej biografii. Pytanie brzmi nie tylko, jak patrzymy na naturę, ale także: czy potrafimy uznać, że nie wszystko istnieje po to, by być przez nas zobaczone, nazwane i zrozumiane? Warto więc wejść w ten film nie tyle z oczekiwaniem na tradycyjnie poprowadzoną opowieść, ile z ciekawością doświadczenia. Reżyserka zaprasza nas do świata, w którym znaczenie rodzi się z obserwacji, powtórzenia i ciszy — a przyroda nie jest dekoracją ludzkiego dramatu, lecz jednym z jego najważniejszych rozmówców. Udanego seansu.